

Wspomnienie o profesorze Michale Dobroczyńskim

Andrzej Lubbe, prof. dr hab.
Wydział Nauk Ekonomicznych UW

Profesor dr hab. Michał Dobroczyński, wieloletni kierownik Katedry Międzynarodowych Stosunków Gospodarczych na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego zmarł 20 marca 2006 r. w wieku 74 lat.

Prof. Michał Dobroczyński był niewątpliwie dosyć typowym przykładem intelektualisty połowy ubiegłego wieku, dzieckiem tej bardzo specyficznej epoki. Dosyć typowym, ponieważ pomimo jednoznacznego światopoglądu i sympatii politycznych zachował do końca nie tylko olbrzymie poczucie humoru, ale także i dużą dawkę sceptycyzmu (cechy, które często idą w parze), co pozwalało mu zachować spory dystans do wszystkich szaleństw i obowiązujących „prawd” swojej epoki. Był niewątpliwie człowiekiem lewicy. Przeżył wojnę pod okupacją niemiecką, jako dorosły człowiek uczestniczył w budowaniu nowego systemu. Prawdopodobnie doświadczenia te — co było udziałem znacznej części tego pokolenia — ukształtowały jego światopogląd. Być może postawa ta została wzmocniona doświadczeniami sześcioletniej pracy w Komisji Afrykańskiej ONZ w Addis Abebie. Po powrocie do Polski, kiedy budował od podstaw Katedrę Międzynarodowych Stosunków Ekonomicznych na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego, wyrażał zdecydowane przekonanie, że tylko system gospodarki planowanej centralnie jest w stanie wydobyć masy ludzi z tak zwanego Trzeciego Świata z nędzy. Nie był w tym poglądzie odosobniony. Także na Zachodzie spotykałem naukowców wyrażających w tym względzie jeszcze bardziej radykalne poglądy.

Od kiedy go poznałem, to znaczy od końca lat 60., miał do rzeczywistości PRL-owskiej stosunek, można powiedzieć, ambiwalentny. Z jednej strony, doceniał, a nawet przeceniał osiągnięcia nowego systemu. Dotyczyło to szczególnie sfery społecznej, szerokiego otwarcia możliwości awansu społecznego i polityki egalitaryzmu. Z drugiej — denerwował go brak elastyczności i zaściankowość władz. Według obecnych standardów nie był typowym ekonomistą. Nie interesowały go specjalnie techniczne aspekty gospodarowania, szczególnie na poziomie mikro. Lubił porównania i analizowanie międzynarodowych konsekwencji decyzji gospodarczych i politycznych. Jego pasją była polityka, przede wszystkim styk polityki i ekonomii. Interesowały go zagadnienia, które we współczesnej „ekonomii głównego nurtu” zepchnięte są na margines. Na przykład polityczne, a co za tym idzie i gospodarcze uwarunkowania, w jakich Polska w tym okresie musiała funkcjonować. Nie sądzę, żeby

przeceniał znaczenie tych uwarunkowań aż do rozpadu ZSRR. Studia doktorskie (aspirantura) w Leningradzie niewątpliwie wpłynęły bardzo silnie na jego optykę widzenia spraw polskich. Uważał, a w tym okresie miał chyba rację, że pozycja Polski była także przez Zachód określana w znacznym stopniu przez pryzmat interesów naszego wielkiego sąsiada. Podejrzewam, że przeceniał także stałość i jednoznaczność tej optyki. Wiązało się to jak sądzę z jego równie ambiwalentnym stosunkiem do Rosji. Przeceniał osiągnięcia nowego systemu, ale i widział jego wyraźne słabości. Uważał, że ZSRR/Rosja nigdy nie była tak silna i nigdy nie będzie tak słaba, jak to ocenia Zachód, ale zawsze — także jako wypadkowa interesów Zachodu — będzie traktowana jak wielkie mocarstwo, co jednoznacznie sytuowało pozycję i możliwości wyboru Polski. Chyba dlatego z oporami i pewnym opóźnieniem przyjął nie tyle konsekwencje wewnętrzne zmian zachodzących w ZSRR w latach 80. (których był zwolennikiem), ile możliwe skutki tych zmian dla stosunków międzynarodowych. Przede wszystkim w relacjach NATO–UKład Warszawski. Jakby się obawiał o trwałość zachodzących wtedy procesów.

Niemniej jednak zdawał sobie sprawę z tego, że niezależnie od tych ograniczeń pole manewru po upadku systemu, określanego na ogół jako stalinowski, jednak istnieje. Niewątpliwie starał się to pole zakreślić możliwie szeroko. Dał temu wyraz jako wieloletni (1972–1993) redaktor naczelny miesięcznika „Sprawy Międzynarodowe”. Sądzę, że w latach 70. i na początku lat 80. było to nie tylko merytorycznie najlepsze, ale i najbardziej otwarte czasopismo tego rodzaju w krajach socjalistycznych. Z tego powodu był często, nieraz bardzo ostro, krytykowany przez tak zwane czynniki oficjalne. Postawę tę zachował także w latach 90. redagując „Przegląd Wschodni”. Jednoznacznie, także w dyskusjach w ramach katedry stwierdzał, że należy robić, co do nas należy i nie przejmować się byle czym. W pracy na uczelni i w redakcji zdawał się konsekwentnie realizować zasadę wyśpiewaną przez Wojciecha Młynarskiego — „róbmy swoje”. Był bardzo pracowity, dużo czytał i, pomimo złego stanu zdrowia, starał się pracować naukowo do ostatniej chwili. W mojej pamięci pozostanie jako osoba politycznie zaangażowana, ale jak najdalsza od postaw serwilistycznych. Był bardzo liberalnym, światopoglądowo bardzo tolerancyjnym kierownikiem katedry.

Był niewątpliwie postacią bardzo barwną, wielowymiarową. Trochę inteligentem w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Czasami odnosiłem wrażenie, że jak książkę z powieści di Lampedusy żył na przełomie dwóch epok i z żadną nie był w stanie się w pełni utożsamić. Nie był to dla niego problem egzystencjalny. Był pragmatykiem i, jak zaznaczyłem wcześniej, sceptykiem. Cieszył się życiem i „robił swoje”. Nową, posttransformacyjną rzeczywistość zaakceptował jako coś nie tyle naturalnego, ile nieuchronnego. Nie był nią jednak zachwycony. Pod tym względem nie był oczywiście wyjątkiem w swoim pokoleniu. Widział rozpad resztek starego porządku i spokojnie przeszedł do analizowania nowej rzeczywistości. Zauważył, że podział Wschód–Zachód, problem, którym zajmował się z pasją przez wiele lat, staje się nieaktualny. Zach-

wał wątpliwości, jak się odnajdziemy w nowej konfiguracji geopolitycznej, ale sama zmiana nie była dla niego żadnym wstrząsem. Zajął się analizowaniem problemów globalnych. Nawet pod koniec życia pomimo złego stanu zdrowia starał się jeździć po świecie jak najwięcej, nie tylko z samej ciekawości, ale żeby — jak sam powiedział — chociaż powierzchownie zweryfikować nie tylko wiedzę książkową, lecz żeby porównać sytuację obecną z tym, co często sam widział kilkadziesiąt lat temu. Starał się być uważnym, chłodnym obserwatorem i konsekwentnie bronił opinii, że nie można obrażać się na rzeczywistość.

Ponieważ są to wspomnienia dosyć osobiste, chciałbym podkreślić jeszcze jedną, moim zdaniem bardzo ważną, a niestety obecnie coraz rzadziej spotykaną, cechę charakteru profesora Dobroczyńskiego. Był wspaniałym oponentem w dyskusjach politycznych i światopoglądowych. Nawet w okresie, kiedy byłem asystentem, ówczesny dr hab. kierownik Katedry chętnie wdawał się z nami w ostre dyskusje, które dla postronnego obserwatora mogły niekiedy wydawać się kłótniami. W dyskusjach tych nigdy jednak nie przekraczono pewnych granic. I nigdy nie miały one żadnych konsekwencji dla naszych stosunków. Ani osobistych, ani służbowych. O wiele łatwiej jest zachować formalnie poprawny charakter dyskusji typowo eksperckich. Dla zachowania zasad w dyskusjach politycznych i światopoglądowych trzeba mieć po prostu klasę. Szczególnie, jeżeli prowadzi się ją z pozycji przełożonego.